№ 25.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Nagłowic.

ROK 1841. Poznań, dnia 8. Grudnia.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów **3**, *i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.*

Władysław i Zofia.

Przez Julią T.......

(Ciąg dalszy.)

Ślub.

Dotąd mię jeszcze żadna nie bolała strata,
A teraz już tęskniłam i wzdychałam skrycie;
I za czémś niespokojne czułam serca bicie,
Z duszą do innego chciałam wznieść się świata.

***

Dopiéro miesiąc upłynął od imienin starosty, wtedy Zofia była jeszcze szczęśliwą, a teraz jaka zmiana; tak to jedna chwila częstokroć niszczy długiemi zabiegi utworzoną pomyślność, jedno mgnienie oka obala trony, wznosi lepianki, jednoczy nieprzyjaciół, rozdziela kochanków. Mało, kto nie doznaje w życiu podobnéj chwili, a przecież każdy z nas wystawia sobie przyszłość szczęśliwą — nikogo nie zaspokoi rzeczywistość. Zofia pomimo przeczucia, że jéj rodzice nigdy nie zezwolą na związek niestósowny, połączona w marzeniach z kochankiem, coraz mocniéj przejmowała się miłością. Lecz teraz wszystko minęło, sen zniknął i Zofia musi paść ofiarą dumy. — Już poznała towarzysza, którego jéj przeznaczają; był to starzec, któremu skowronek ośmdziesiąt przeszło razy wiosnę kwilił, bogacz nielada; mieszkał od niejakiego czasu w Polsce, ale powziąwszy zamiar odmłodnienia przy ślicznéj starościance; postanowił wrócić do Litwy, gdzie miał wielkie dobra i stary zamek gotowy na przyjęcie młodéj żony, któréjby powietrze stolicy łatwo mogło zaszkodzić.

Przybyłeś wreszcie dniu wesela, witam cię, witam przyjacielu kochanków, do ciebie szlą tysiączne westchnienia, lecz ty się jednym uśmiechasz, a z drugich szydzisz, dla czegoż i hożéj Zofii łza płynie, gdy o tobie wspomni? Starościna od samego poranka przewodniczy ubiorowi smutnéj ofiary, już ją ozdobiono weselną szatą, jak baranka w wstęgi na zabicie; już cały zamek napełniony tłumem przyjaciół; wszędzie wrzawa, hałas, odgłosy radośne, damy myślą o strojach, rój dziewcząt służących biega tu i ówdzie, jedna upina, druga gładzi, trzecia prasuje, wszystkie kręcą się około swoich pań starszych lub młodych, bo wszystkie bez wyjątku hołdują modzie; młode chcą jeszcze bardziéj uświetnić swe wdzięki, a podeszłe matrony myślą, że wyszukany strój, zwróci im zwiędłe powaby; trudna rada! — Oj próżności, tyś każdemu wiekowi właściwa, każdy stan tobie się kłania, trefniś i mędrzec, filozof i fanfaron, dewótka i modnisia, wszyscy ci kadzą. Dajmy pokój morałom, trzeba pospieszyć na wesele, abyśmy się nie spóźnili, podaj mi rękę kochany czytelniku, wejdźmy do zamkowéj kaplicy oświeconéj mnóstwem pochodni, których blask dziwnie odbija przy ścianach ozdobionych herbami starosty i starościny. — Już pobożny kapłan czeka u stóp ółtarza, aby pobłogosławić związek nowożeńców; znagła szmer powstaje — otóż i wchodzą. Panna młoda przy swoim narzeczonym wygląda jak wiosna przy zimie, zapłakana postępuje chwiejącym krokiem: nie tak to gdy wzajemna miłość prowadzi do ślubu; niewinna dziewica spieszy z czułą radością, nadzieja jéj skrzydeł przypina, bo już od téj chwili będzie do tego należeć, którego w swém sercu obrała, odtąd z nim podzieli wszelkie koleje życia. Ale tu niemasz tych uczuć, które tyle wdzięków dodają młodym. Zofia w przyszłym małżonku widzi tyrana chcącego jéj wolność wydrzeć, on nigdy do jéj serca nie nabędzie prawa.

Starosta smutny stara się pokryć swą boleść, dobry ojciec, lecz zbyt słaby mąż idzie powoli obok swéj żony, która wznioślszy głowę dumnie spogląda do koła, a radość błyszczy na jéj twarzy, że dopięła swojego zamiaru!

Już przyklękli Zofia z starostą, zabrzmiało Veni Creator, wykonano przysięgę w obliczu przedwiecznego, biedna dziewica zadrżałaś, Władysław ci w pamięci stanął — nie myśl więcéj o nim, samaś na siebie ten wyrok wydała. Po skończeniu obrzędu ślubnego pannę młodą zemdloną po ostatnich słowach wyniesiono z świątyni. Boże! jakaż wróżba dla nowo połączonych, gdy chwila mająca im przynieść szczęście, od gorzkich się łez zaczyna: pycho! tyś powodem cierpień dwóch istot niewinnych, patrz na twe dzieło i napawaj się goryczą, którąś w ich dusze przelała. — Po kilkodniowéj uczcie i wrzawie gdy zabawy kres wzięły, pan starosta zabrawszy swoją małżonkę pojechał z nią do Litwy, dokąd im także rodzice towarzyszyli. Staroście uznała mieszkanie zięcia godném jéj córki, jako też odpowiadającém dostojności dziedzica, a na widok bogactw i przepychu, rozpływało się serce téj dumnéj matki, która depcząc szczęście swego dziecka dążyła do celu. W nowém gospodarstwie znowu bale, uczty, łowy, wszyscy się cieszą, bawią i jednogłośnie winszują staroście ładnéj żony, tylko ona sama obojętnie na wszystko spogląda, w skrytości łzy leje, a przy świadkach zdaje się zajmować nowym stanem. Wierna Magdusia jest z nią razem, lecz jéj pani nigdy o Władysławie nie wspomina, obiedwie milczą, a dobra sługa nieraz płacze nad losem młodéj ofiary. — W miesiąc potém starościna z mężem odjechała do domu, teraz dopiéro pusto i głucho dla Zofii, bo w towarzystwie kochanego ojca lżejszym się jéj ciężar niedoli zdawał; gdy w przeciwnościach siły traciła, ojciec ją wzmacniał i uczył trudnéj cnoty. Starościna (tak ją odtąd nazwiemy) bezustannie walczyła z uczuciem napełniającém jéj duszę, najmniejszéj myśli o Władysławie nie przebaczyła swojemu sercu, a tak w ciągłéj niespokojności zagrzebawszy wszystkie uczucia w obowiązkach żony, starała się godnie dopełniać przeznaczenia cnotliwéj kobiety.

Zakonnik.

I łzy z mokréj źrenicy nie obeschły jeszcze,
I uśmiech na posępnéj nie zabłysnął twarzy;
Bo dotąd dawny obraz w myśli mojéj pieszcze,
Bo dotąd dusza moja o przyszłości marzy.

***

Chmury okryły widnokrąg, już zniknął dzień przed nocą, jak pokój z duszy nieszczęśliwego przed czarną zgryzotą. Cichość panuje w całém przyrodzeniu, ubogi wieśniak po ciężkiéj pracy mile spoczywa na twardym tapczanie; bogacz znużony uciechami tonie w roskoszach, brudnego skąpca budzi ciągle obawa, aby mu kto skarbów nie wydarł, cnota znękana prześladowaniem chociaż na wiązce słomy, doznaje przecie słodyczy snu lubego, który nie przyjmuje w swoje objęcia zbrodniarzy, gdyż ci właśnie w téj porze czuwają nad dopięciem podłych zamiarów. Noc zarówno szczęcie i niedolę, cnotę i występek kryje; jednych dręczy, drugim ulgę przynosi, najmocniéj zaś sprzyja łzom kochanka. Podczas takiéj nocy, otwarły się zapory klasztornego gmachu, wychodzi braciszek w grubym kirze z różańcem w dłoni, postępuje zwolna i wśród grobowców cmętarza szuka ulgi, któréj tak dawno znaleźć nie może. — Na próżno opuściwszy świat i przewrotnych ludzi, rzuca powaby zwodnéj nadziei i chroni się w grube mury klasztorne, gdzie miłość pragnie zamienić na pokorę i pobożność zakonnika. Na próżno czyni pokutę krępując ciało ostrą włosiennicą, serce się nie da upokorzyć, a dusza nie podległa tym męczarniom, zawsze wzdycha do przedmiotu pierwszéj miłości. — W chórze czy wsamotnéj celi, u stóp ołtarza lub przy pracy wszędzie go ściga obraz kochanki. Daremnie wśród gorących modłów, tuląc łono do twardego głazu, przepędza długie godziny i żebrze przedwiecznego o spokojność. Niestety! już ona znikła bez powrotu. Nikt w klasztorze nie wie powodu tak ciężkiéj boleści, ale wszyscy wzruszeni cierpieniem i cnotą nieszczęśliwego młodzieńca, życzą mu ulgi. W nocną porę, gdy tylko puszczyk wylatuje z swojego siedliska, zakonnik zrywa się z twardego łoża i spieszy między groby. — Tu obraz śmierci poi go dziką rozkoszą, obojętnie spogląda na pamiątki życia i złorzeczy swemu istnieniu, chciałby również spoczywać w łonie ziemi, aby w niéj ukryć swą boleść. Nieraz w obłąkaniu zamyśla nagle przeciąć pasmo życia, lecz religia wyrzuca mu ten zbrodniczy zamiar, pada na ziemię i tarzając się w prochu, wydaje jęk boleśny. — O nieba! czyż obok nieszczęścia, mam jeszcze być występnym! Co noc doznaje podobnéj męki, a przecież skoro słońce zniknie i natura krępą się czarną odzieje, młodzieniec znowu wychodzi w miejsce, gdzie nim najdziksza rozpacz miota. Zdaje mu się, że pod gołém niebem lżéj oddychać będzie, bo cela jego jest dla niego za ciasną. Jutro rok mija jak wstąpił do klasztoru, jutro przyjmie zakonną szatę, wyrzecze się wszystkiego, zerwie związki z życiem aby się wcześnie w zimnym grobowcu zagrzebać. Gdyby z dawną wolnością i pamięć utracił, mógłby być jeszcze szczę-

śliwym, ale pierwsza miłość długie ślady po sobie zostawia. Już północ uderzyła na zamkowéj wieży, zbudził się Władysław z ciężkiego marzenia i raz ostatni westchnąwszy wraca do fórty.

Zgon.

»Maryo! Boga Rodzico
»Wstaw się do Syna za nami.«

Śmierci! nieuniknione twoje ciosy, wszędzie i wszystkich dosięgasz. Miłość się tobą przeraża, cierpienie wzywa cię, lecz ty okrutna nigdy nie spełniasz życzeń śmiertelnika, igrasz z jego niedolą, naigrawając się z słabości ludzkich. I teraz zabrałaś starostę, który sobie obiecywał za pomocą lekarzy wybrnąć z choroby na pozor niebezpiecznéj. Cnotliwa małżonka nieoszczędzając tkliwych starań, pędziła bezsenne nocy przy jego łożu, dawna miłość poszła w niepamięć przed powinnością, nie myśląc o własnych cierpieniach, była jedynie zajęta pielęgnowaniem chorego, lecz daremne zabiegi lekarzy, próżna troskliwość małżonki, gdyż mocniejszy głos natury wezwał starostę do grobu.

W pół roku po ślubie wdowa pędząc odtąd chwile samotne, oddała się wspomnieniom pierwszych uczuć; już jéj wolno było myślić o Władysławie, znikła zapora, przecież starościna nie śmiała otworzyć serca przed nikim. Tylko Magdusia, ta wierna sługa, z wrodzoną sobie przenikliwością, odgadła, co się działo w duszy jéj pani, a nic nie mówiąc usilnie szukała wieści o Władysławie. Jednego poranka wszedłszy do pokoju starościny, pogrążonéj w głębokiém dumaniu po chwili namysłu tak zacznie: »Daruj pani mojéj śmiałości, ale Bóg sam widzi, że już dłużéj na to spoglądać nie mogę; serce mi się kraje z żalu, gdy wspomnę na te młode lata, które pani marnie trawisz (widząc mocne wzruszenie wdowy, z zapałem tak daléj mówi): »Na co ta smutna postawa i łza w oku. Czyż pani może opłakiwać śmierć tego, który zatruł jéj szczęście? Młoda, nadobna, bogata, porzuciłabym to stare zamczysko, które więcéj dla schronienia puszczyków, niż dla pani przystoi, sama zaś czémprędzéj do stolicy; a pani jakby zakonnica modli się ciągle i płacze za zgrzybiałym starcem.«

»Magdusiu, proszę cię, nie wzruszaj popiołów nieboszczyka, czyż on temu był winien, żem innego kochała?«

»A teraz? już minęła tak prędko owa miłość! pomnisz pani kiedy na pana Władysława?«

»Moje powinności, żałoba nieskończona.....«

»Tak, powinności, żałoba, czyste morały;« rzecze coraz poufalsza garderobiana — »właśnie też teraz przystoi o tém rozprawiać, gdy pan Władysław może jęcząc w rozpaczy z utęsknieniem zgonu wzywa, a pani tymczasem płacze za starostą, który rozumiał, że jéj szczęście skarbami opłaci.«

Tu młoda wdowa nie miała więcéj siły ukrywać to, co przezornéj Magdusi aż nadto znanem było. »Daj pokój tym wspomnieniom, dla nich to moje łzy leję; lecz gdzież go znajdę? kto wie czy mię kocha jeszcze?«

»Ubóstwia nietylko kocha,« odpowie z łzami dziewczyna — »teraz, gdy mi wolno powiedzieć, co wiem, słuchaj pani i zadrzyj: O to pan Władysław jest w klasztorze, o dwie mile od nas leżącym. Zaraz po zgonie pana starosty zajęłam się losem jego, a pomyśliwszy sobie, że sługi w domu ojca pani będą najlepiéj wiedzieć, gdzie pojechał oddalając się od nas, napisałam list do mojéj przyjaciółki Kasi, prosiłam jéj bardzo, aby wyśledziła pobyt pana Władysława, udając, że się w nim kocham bez wzajemności. Wkrótce odebrałam odpowiedź, że poczciwa Kasia po staranném wypytywaniu tylko o tém mogła mię uwiadomić, jakoby pan Władysław pojechał do Litwy, gdzieś tu w nasze strony: ona o tém wie od starego Tomasza, który miał odwieźć pana Władysława do stolicy, ale go odesłał zaraz na pierwszym popasie mówiąc: »»Bądź zdrów dobry Tomaszu, wracaj do domu, rozmyśliłem się w drodze, nie mogę teraz jechać do Krakowa bo mię ważne sprawy wprzody wzywają do Litwy.«« Ha pomyślałam sobie, gdyby mi nawet przyszło piekło przewrócić muszę kochanego pana Władysława znaleźć. Odtąd jak tylko z obcych do nas kto przybył, zaraz wypytywałam się sług, czy nie znają gdzie, lub czy nie widzieli takiego a takiego młodzieńca, ale nikt mię nie zaspokoił. Wreszcie, bo to prawda, kto z Bogiem, to Bóg z nim, gdy mi pani onegdaj pozwoliła pójść na odpust do pobożnych ojców Kamedułów, którzy ztąd o dwie mile, w starym klasztorze na wzgórku mieszkają — po nabożeństwie idąc na processją, znagła ujrzałam jakiegoś braciszka, coś mię tknęło w cerce, zbliżam się, patrzę...... Wszakże to pan Władysław, ten niegdyś wysmukły młodzian w grubéj kapie, a te śliczne czarne oczy, które aż do duszy wglądały, teraz smętnie w dół spuszczone. Boże! Boże! cóż się téż zemną wtedy działo, ledwie mi serce nie pękło, odszedłszy spytałam ludzi, czy by znali tego braciszka, odpowiedziano mi, że jest jakiś nieszczęśliwy, który wkrótce już rok będzie jak wstąpił do nowicjatu, nikt go jeszcze wesołym nie widział, dodali nawet, że on nie zabawem zupełnie się w zakonną szatę oblecze. Spiesznie

wracałam do domu by panią o tém uwiadomić, kto wie może już wczoraj wykonał przysięgę.....

Tu starościna nie mogąc przytłumić swego uniesienia pada w objęcia Magdusi, przyciska ją do serca i woła: »Anielska dziewczyno, tyś w cichości myślała o mojém szczęściu, gdy ja bezczynne we łzach trawiłam chwile. — Spiesz się, dokończ twego dzieła. — Muszę wyrwać Władysława z obowiązków klasztornych, powtórzę tysiąc razy przed całym światem, żem go nawet wśród obowiązków żony kochała — lecz kto wie? może on już wyrzekł okropną przysięgę! o ja nieszczęśliwa!«

»Uspokój się pani rzecze Magdusia, pomyślmy raczéj o tém jak by pana Władysława do nas najprędzéj sprowadzić.«

(Dokończenie nastąpi.)

Prelekcye w Poznaniu.

Kurs Estetyki Dra Libelta.

Trzy kursa poprzednie, prawa, chemii i historyi narodów słowiańskich, o których zdaliśmy sprawę w poprzednich numerach naszego pisma, należą do nauk praktycznego pożytku; dają coś na oko, prowadzą do wypadków, że tak powiemy namacalnych, i na rzeczywistych stósunkach, bo na tém co się istotnie rozwinęło w narodach opierają rozumowania swoje, swoje systemata i wnioski. Ta ich praktyczna strona zapewnia im słuchaczów, bo daje praktyczne korzyści. Nie tak się ma z filozofią, a w szczególności z estetyką. O pierwszéj całkiem wypaczone chodzą wyobrażenia, druga ogółowi publiczności naszéj całkiem nie jest znana; a czyli czasy nasze są filozoficzne a w szczególności estetyczne, podobnoby nie twierdzić, ale zaprzeczyć należało. Filozofia jest zawsze ostatnim i najwyższym stopniem objawienia się wiedzy narodowéj. Dość pojrzeć w tył na dzieje filozofii, ażeby się o téj prawdzie przekonać. Wypływa zaś z samego pojęcia rzeczy, bo wprzody idą zmysłowe, materyalne a dopiero duchowe potrzeby narodu. Pan Libelt sam nam powiedział, że wprzody budzą się potrzeby ciała, a dopiero po nich potrzeby ducha, że wprzody na horyzoncie narodu zejść muszą sztuki piękne narodowe, a dopiero po nich spodziewać się można narodowéj filozofii. Wypada zatém z tego wniosek, że filozofii słowiańskiéj jeszcze nie mamy, i długo jeszcze mieć nie będziemy, i że zatém każda filozofia u nas będzie tylko pożyczaną suknią od obcych, a kto wie, czy właśnie nam Polakom w téj sukni do twarzy, i czy w ogólności nie będzie nam albo za opięta, że jéj na się włożyć nie będziemy mogli; albo za długa i obszerna, żebyśmy się w niéj ruszyć nię potrafili. Że zaś Polacy filozofią, za taką suknię istotnie poczytują, która nie na nich zrobiona, świadczą pisma Jana Sniadeckiego; świadczy urządzenie akademii krakowskiéj przez Kołłątaja; który filozofią z planu nauk wykryślił; świadczy nakoniec upowszechnione u nas uprzedzenie o téj umiejętności, że filozofia zwłaszcza niemiecka tylko zawraca głowy, że to same są marzenia, z których żadnego nie ma pożytku, bo do niczego nie wiodą, że zatém nie warto czasu na to poświęcać, myśli sobie tém zaprzątać. — Takie są nasze czasy filozoficzne. Nie dziw przeto, że przez wstręt i niepochopność do filozofii, pojedyńcze jéj części ani nawet są wiadome. Estetyka zaledwie znana z nazwiska, a ludziom, co praktycznie, i jakto mówią, na zdrowy rozum rzeczy biorą, dziwnie się wydawać musi słyszeć o filozofii sztuk pięknych, kiedy u nas sztuk pięknych samych jeszcze nie ma. Do tego dokłada się i to jeszcze, że w ogólności dziś wiek nie jest estetyczny, że mało gdzie kwitną sztuki piękne, że jeżeli wszędzie po naradach interes materyalny, przemysłowy przeważa, u nas podobno pod nawałem wielorakich kłopotów i ucisków, tém mniejsza panuje swoboda umysłowa, któréj potrzeba dla sztuki, i dla filozofii sztuki. — Pod takiémi to nieprzyjaznémi okolicznościami zapowiedział i rozpoczął P. Libelt kurs swój, w jednéj godzinie na tydzień, co Sobota od 6 — 7 wieczór. Zaufał zatém talentowi swojemu wiele, gdy sobie zamierzył utrzymać znaczną ilość słuchaczów dla przedmiotu, dla którego tak mało jest obudzonéj sympatyi, a wiele krąży fałszywych o nim pojęć; i gdy wziął sobie za cel rozproszyć te uprzedzenia, i wlać w słuchaczy zamiłowanie dla filozofii. Jużeśmy go słyszeli w piątéj występującego prelekcyi, i oddać musimy sprawiedliwość znamienitemu jego talentowi. Rzadki dar wymowy, którym w wolnym, płynnym wykładzie umie porywać słuchaczów; wykład jasny, jędrny, w najzawilszych nawet kwestyach filozoficznych, prawie popularny; gdzie rzecz tego wymaga szczytny, kwiecisty i obrazowy; to są przymioty, któremi choć w części będzie mógł dopiąć celu, i rozwiązać trudne, jakie sobie założył zadanie. Chwalimy mu i to, że, ile znamy estetykę, nie trzyma się ślepo systemów panujących filozofii, ale własnym, nowym idzie torem, że sam sobie bije gościniec, i tylko zwir i kamienie bierze z obszernego pola filozofii niemieckiéj i francuzkiéj. — Przystępujemy do saméj treści kursu P. Libelta, którą

także dajemy historycznie tylko, bez krytycznego rozwodzenia się.

Mówca starał się naprzód dać, jeżeli nie zupełne pojęcie, przynajmniéj lepsze wyobrażenie o filozofii, wystawił ją jako umiejętność mającą za przedmiot poznanie Boga przez wiedzę; wyróżnił ją od religii i teologii, która mając ten sam przedmiot, obiera inną drogę, i poznaje Boga przez wiarę: wykazał stósunek tych dwóch dróg poznania: wiary i wiedzy, a ztąd stosunek religii i filozofii. O tém zaś szczególniéj chciał przekonać słuchaczów swoich, że filozofia każda jest przedmiotowa, to jest, że jest tylko poznaniem tego, co istnieje, i ma byt swój sama przez się, i zewnątrz nas. Nie zawisła zatém filozofia, od głowy tego lub owego filozofa, którego tylko to jest wielką zasługą, że to, co jest w duchu, do wiedzy własnéj i do wiedzy współczesnych doprowadził. System żaden filozoficzny nic innego dać nie może, ino co w duchu samym już istnieje i istniało. Wszystka wiedza, przeszła, teraźniejsza i przyszła, jest pierwotnie w duchu złożona, który się przez ludzi, przez geniusze w kolei czasu do coraz rozleglejszéj wiedzy rozwija. Takiém przedmiotowem znaczeniem filozofii uratowana jest jéj godność. Występuje bowiem jako rozwój samego ducha, który się w filozofach do pojęcia objawia, i stoi na równi innych ścisłych umiejętności, które w postępie także nic innego nie dają, tylko co istotnie w przedmiocie samym, który traktują, jest zawarte. Cokolwiek matematyka odkryła i odkryje jeszcze, wszystko to złożone jest w pojęciu liczby i figury. — — — —

Z téj zasady łatwo było zbić fałszywe o filozofii wyobrażenia, łatwo okazać, że filozofia tylko może być systemem, że jest mistrzynią i prowadnikiem wszystkich innych umiejętności, że jest czcią wielkiego Boga, którego poznać stara się, że jest najwyższą chwałą a razem największem zadowoleniem człowieka.

Dał potém P. L. podział filozofii na czystą i przystósowaną, i w rzędzie ostatniéj umieścił estetykę. Trafiał go tu zarzut zaraz na wstępie, że aby stosować filozofią do sztuk pięknych, należy znać filozofią samą, znać jéj system i pojęcia rozwinięte, znać myśl w całym jéj czystym rozwoju; że zatém bez téj znajomości, któréj przecież w większości słuchaczów swoich nie mógł przypuszczać, nierozumiały i nieprzydatny, będzie jego wykład. Powiedział nam atoli P. L. że zastósowanie w umiejętności nie jest tak fizyczne i narzędziowe; że nie można i nie należy w takim odstępie trzymać prawd pojętych i prawd zastósowanych; bo i owszem taki między niemi wzajemności zachodzi stosunek, żeby nie można n. p. filozofii zastósować do natury, gdyby tych samych pojęć w naturze nie było. Uczymy się z grammatyki języka, ale ta sama grammatyka jest z języka zdjęta; zastósowanie zatém prawideł grammatycznych do języka o tyle tylko jest podobne, o ile te prawidła już są w języku zawarte. Podobnie liczba i wszystkie jéj własności, figura geometryczna i wszystkie jéj przymioty, zdjęte są ze świata, i matematyka niczego nie uczy w abstrakcyi, coby nie istniało w rzeczywistości. Własności biegu planet, określających elipsę nie są inne, tylko te same, które matematyk, zakreśliwszy sobie elipsę na papierze, z niéj wyprowadza. Ztąd podobieństwo, że wprzody uczyć się można języka, a potém dopiero grammatyki, i tak wszyscy uczymy się języka ojczystego; że z natury, z zewnętrznego świata zdejmować można liczby i figury, zdejmować wszystkie ich własności i stosunki, i ze świata uczyć się matematyki. Taki sam stosunek wzajemności zachodzi między filozofią czystą, a filozofią stósowaną. Abstrakcye filozoficzne są w świecie, a świat w nich; filozofia da się zastósować do świata, a ze świata da się filozofia rozwinąć, i rozum doświadczeniem ukształcony jest taką filozofią praktyczną. To się stwierdza jeszcze z innego uważania rzeczy. Filozofia jest tylko wiedzą ducha, a ten sam duch, objawia się w rozmaitych pojawach i u zewnętrznieniach się siebie. Ten sam duch, ta sama myśl boska jest rozlana w naturze, objawia się w religiach, w dziejach narodów; świeci w prawie, w oświecie, w sztukach pięknych. Filozofia zastósowana doprowadza zatém tylko do wiedzy, jako i w tym kierunku, w tém upostaciowaniu się, duch się rozwinął, i tym rozwojem na zewnątrz objawił. — — —

P. L. zmienia zatém tylko metodę: nie będzie stósował prawd logicznych i metafizycznych do sztuk pięknych, ale z nichże samych owe prawdy wyprowadzi, w system ułoży, do jednego pewnika zwróci, i to będzie estetyką, czyli filozofią sztuk pięknych. Uważa on, że aby zasmakować w filozofii, aby umysły przyzwyczajone do zmysłowych tylko wyobrażeń, naprowadzić na abstrakcye, to jest na golizny saméj myśli, ta jest najwłaściwsza droga. — Logika i metafizyka, powiada, tworzą rozłóg w umiejętności, niby rozłóg wielkiego stepu ukraińskiego, gdzie nie ma kędy spocząć oku, przyzwyczajonemu do dolin i gór, do drzew i rzek, do rozmaitości przedmiotów, gdzie syn pola i kniei tęschni, i błądzi, i tylko syn stepu hula swobodnie na koniu, i zna wszystkie jego szlaki. Zaś estetyka jest jak piękne pole elizejskie, w których przechadzają się w ubłogosławieniu duchy cielesne, i że zatém tędy naj-

powabniejsza droga w rozległe i cudowne obszary pojęć filozoficznych.

(Dokończenie nastąpi.)

Korespondencya.

Z Paryża.

Jules Janin, panna Rachel, Balzac, Dumas, Meyerbeer.

Wszystko ma swój czas, mówi Salomon, ale o ożenieniu nic nie wspomina ten stary grzesznik. Miłość i nienawiść mają swój czas, ale miłość i nienawiść nie jest jeszcze ożenkiem. A jednak jest tu saison de mariages, jako jest pora na ostrzygi, trufle i wstecz cofające się raki. Kiedy liść z drzew opada, księżyc dłużéj aniżeli słońce przyświeca, kiedy niebo nakoniec melancholijnie spoglądą, wtenczas tu saison de mariages nastaje. Zdaje się, że tu dla tego się żenią, aby ogrzać się w czasie zimy przy płomieniu miłości, lub aby zwiedzić włoską operę w towarzystwie żony. Jedném słowem nastała saison de mariages i dziennikarze sami ton temu nadają.

Nazwać to można rewolucyą w tutajszych obyczajach, że się francuzki literat ożeni, lub uważać to będą za chwilę reakcyi, wiążącą się ściśle z wypadkami teatru. Że zapóźno się żenią, jest to jeszcze szczęściem dla nich. Ożenek stanie się dla nich przystanią po żegludze burzliwéj, posłuży im za skarbonę oszczędności po latach marnotrawstwa, ma on ułudy tego życia, przyjaciół i nieprzyjaciół zatrzeć w pamięci jedną przyjaciółką serca i duszy, jedném słowem, jest on przeciągłem westchnieniem w rozburzoném życiu Paryża, śmiałym lub rozpaczným rzutem kotwicy po rozbiciu okrętu lub po pracy przesilonéj, która wypoczynku wymaga i nie puszcza się na przypadki igrającego losu. Dowcipy na małżeństwa rzucane, ztąd jeno pochodzą, iż w naszych czasach małżeństwa stały się spekulacyami, jako wszystek dowcip pochodzi z przewrotności, ucisku i błędów społeczności. Gdyby małżeństwo tém było, czém być powinno, nie znalazłby się żaden poeta, któryby śpiewem doszedł wzniosłego stanowiska jego, przeznaczenia i poświęcenia. Tak więc i poeci ulegają powszechnemu prawu, żenią się jak ludzie codzienni, albo się nie żenią, a wtenczas stają się rozsądnymi, bo milczą.

Nie tak przecie Jules Janin. Zuchwały aż do śmieszności, stracił zupełnie rozum, kiedy panna mająca 10,000 fr. renty oświadczyła się gotową oddać mu rękę. Janin nie czuł się najszczęśliwszym z mężów, to z resztą byłoby do wybaczenia, ale uważał siebie za pierwszego człowieka Francyi, dla tego iż piękna, bogata, wykształcona dziewica nie przelękła się osławionego nazwiska Janin i poszła za niego. Samo wesele było publiczną chełpliwością. Maire, goście i ksiądz nawet wypadli z ról własnych i gadali o stylu Janina w przemowach. Zaprosił jeszcze i Chateaubriana i Lamartina na świadków. — Nazajutrz po ślubie umieścił w Debats feuileton le mariage du critique. Sam tytuł świadczy o próżności jego, uważa się za pierwszego krytyka Francyi. W artykule tym opowiada Janin stylem dość wodnistym, jaki to cud, iż literat porządną dostał kobietę za żonę. Być może, iż żona jego patrzyła więcéj na styl jego, aniżeli na myśli, bo tych u niego bardzo mało — lecz i rodzice jéj wiedzieli, że on posiada równe dochody jak i córka, a prócz tego dom w Etienne i pałac we Włoszech wygrany w loteryą. Tak więc ożenił się jak każdy filister. Daléj opowiada Jules Janin, że biedna dusza jego dawno polowała za drugą połowicą, jak pragnął przy pięknych miejscach wielkich poetów, aby kochana żona równie z nim podzielała uczucia i myśli. Rzecz ta nie jest nową, słowa jeszcze mniéj, uczucie przecie właściwe. Panie królu stylów, kiedyś tak gonił za twoją połowicą, dla czego nie pojąłeś biednéj, czułéj dziewczyny, którąby z dumą unosiła się z tobą nad wzniosłemi miejscami. Powiedz raczéj, że twoje 10,000 fr. dochodu, szukało prawnéj drugiéj połowy, a nie rzucaj po świecie poetycznemi słowami! Co gorsza. Janin opisuje swoją żonę jak inspektor policyi sygnalizuje swych złoczyńców, rzuca prawdziwy list gończy w Debats i posyła go na świat cały. Mlle de belle Isle jest niczém przeciw temu opisowi poślubin. Być może, że nim chciał się przysłużyć swemu teściowi, ale i żona nie więcéj od niego posiada rozsądku, bo inaczéj nie byłaby dozwoliła, aby podobny artykuł został wydrukowany. Tak próżność odniosła zwycięztwo nad rozsądkiem, i to cała tajemnica małżeństwa. Wszystkie dzienniki rzuciły się na ten opis z przyborami dowcipu, a nawet oburzenia. Teść żałuje, że przyzwolił na małżeństwo, żonie nie jeden już zabrzmiał bąk w czasie miodowego miesiąca. Zgorszenie tak było wielkie, że dyrekcya Debatów zaprzestała wydawać ten numer dziennika.

Janin dopuścił się drugiéj bredni. Uwziął się pannę Rachel, na koszt panny Maxime poniżyć. Powiada o pierwszéj, że ją podniósł do szczytu sławy w Paryżu, lecz ona za nos go wodziła i dała mu koszyk. On rzuca się i gniewa, zapomnieć tego nie może i chce ją z Olimpu wyrzucić i omało mu się

nie udało. Ale z kobietami nikt jeszcze nie wygrał, a tém mniéj krytyk. W tym tygodniu panna Rachel odniosła zwycięztwo nad panną Maxime w roli Maryi Stuart Schillera. Biedaczka śmiała się z nią puścić w zawody. Ocknęła się wówczas duma jenialnéj dziewicy, rozgniewana śmiałością współzawodniczki bronionéj przez jéj dawnego przyjaciela, w uniesieniu krzyknęła jako Stuart: »Na kolana przedemną, ja tu jestem królową!« Panna Maxime jakby gromem rażona, straciła równowagę, jękła i zaledwie zdołała przyjść do siebie, tak zwycięzką, tak prawdziwą była gra jéj rywalki. Janin siedział w loży jak potępieniec, widząc tryumf Racheli. Przecie i panna Rachel ma także domowe zmartwienia i ona cierpi na serce, z miłości. Czyliż nieba nie uwolnią nas od téj naprzykrzonéj bogini? Panna Rachel igra miłością jak dziecie z ogniem, nie wie, że on nietylko ma piękne kolory, ale i parzy! Niedawno poznała w Lugdunie pięknego młodzieńca, izraelitę, który jéj się spodobał. Młodzieniec zdawał się dzielić jéj miłość. Po powrocie do Paryża przyszło jéj na myśl pójść za mąż za niego, zwierza się matce, matka zezwala, jeżeli szczerze myśli o nim. Młodzieniec odebrał list. Z roskoszy rozpływając się przybył do Paryża i rzucił się do nóg swéj bogini. Ale nie upłynęło dni ośm, a już uczuła żal w sobie i poczciwy chłopiec wrócił z czczém i zranioném sercem do domu. — Na ten sposób i w Paryżu traci się sława. W najnowszym czasie pan Veron, ów stary Lovelace wiele jéj czynił grzeczności. Czy to do prawdy, czy z lekkości lub przywidzenia, artystka napisała list do niego, Veron tyle był niegrzeczny iż listu udzielił niektórym literatom pod dyskrecyą. Dosyć, aby się całe miasto o tém dowiedziało. Wiele dzienników głośno o tém mówiło, charivari umieścił nadzwyczaj zgryzliwy artykuł i podczas ostatniéj reprezentacyi przyjęto Rachel ozięble. Mimo to wyszła zwycięzko z téj walki i w ostatniém przedstawieniu Stuart, obsypała ją publiczność grzmotem poklasków. Zresztą nie nazwę partyą panny Rachel dobrą, jest ona artystką w życiu domowém i nią będzie w małżeństwie. Z ogromnych dochodów mało co uchowała, za 50,000 fr. kupiła willę, część ma w klejnotach, wszystko inne rozrzuciła na wsparcia i podarunki, mimo zabiegów przeciwnych rodziców.

Tymczasem kojarzenie małżeństw jest o te czasy tu hroniczną chorobą, szczególniéj uganiają się za żydówkami. Znam trzech literatów, którzy niedawno z żydówkami się ożenili, Leon Gozlan, Elie Berthet i Abbé Mainzer. Sądzą tu bowiem, iż żydówki surowszych są obyczai niż chrześcianki, a w pożyciu domowém daleko czulszemi od nich.

Balzac i Dumas ostro sobie przycięli w pewném towarzystwie. Balzac odchodząc rzekł: jeżeli się zupełnie zużyję, pisać będę dramata! A to zaczniéj czemprędzéj, zawołał zanim Dumas rozgniewany. Takie przycinki często słychać w towarzystwach wielkich literatów. Gerard także literat zwaryował, przyszedłszy do zdrowia zwiedził pewne towarzystwo. Antoni Deschamps głośno utrzymywał tam iż żaden waryat nigdy nie wróci do zdrowia, on bowiem wie o tém najlepiéj, bo sam był waryatem. Co najlepsza, Deschamps uroił sobie, że dawniéj był waryatem, Gerard zaś zapiera się śmiało, aby kiedy miał pomieszanie zmysłów. Możnaby z tego napisać komedyą: »dwóch waryatów.«

Muzyka wróciła do Paryża po długiém milczeniu, w stanie suchot. Brak jéj nowożytnego bożyszcza, Meyerbeera. Meyerbeer jest messyaszem oper, on tylko zna i dopatruje w nich ducha czasu. Hugenoci i jego Djabeł zawsze mają pełno widzów, obok Tella Rossyniego. Nic innego tyle nieprzyciąga. Zbywa tu na głosach pierwszego rzędu, a choćby i znalazły się głosy, to z operą tu bywa, jak z ministerstwami, wszystko przez względy i intrygi. Sztuka widocznie tu upada. Niedostaje tu woli żelaznéj, jeniuszu. Gdyby Meyerbeer chciał się zatrudnić administracyą, natenczas wszystko inaczéjby poszło, ale rozumiem iż artysta ten nareszcie rozbije swój namiot we własnéj ojczyznie, bo i jego już zaczynają nudzić tutajsze korowody, skrzydeł jednak nie będzie wstanie o tyle rozpuścić w Niemczech, co w Paryżu. ***

ROZMAITOŚCI.

Pan Comaschi podobno odkrył sztukę kierowania balonem w powietrzu; czynił niedawno doświadczenie w Lugdunie, które według dzienników miało zupełnie się udać. Pogoda przedsięwzięciu nie sprzyjała, niebo było okryte chmurami, deszcz padał rzęsisty i przytém burzliwe było powietrze. Żeglarz napowietrzny pędził nad Saoną, w kierunku zachodnim, ciągle krzywą zakreślał linią, wrócił napowrót przez rzekę i spuścił się na tém samém miejscu, zkąd puścił się w powietrze. Kształt tego balonu nie był walcowaty, lecz rhomboidalny.

Podczas ostatniego posiedzenia akademii francuzkiéj opisał p. Gaudin swoją metodę obchodzenia się z płytą do daguerreotypowania. Używa innego jak zwyczajnie pierwiastku, to jest jodbromure, który płyty tak tkliwemi czyni na światło, iż najdokładniejsze odwizerunkowania przedmiotów w ćwierć sekun-

dy oddaje. Tym sposobem zdjął obrazy przedmiotów, które szybko poruszały się, np. pont neuf z wszystkiemi przezeń przechodzącemi osobami, końmi i pojazdami. Nawet portrety zdejmuje w ten sposób, z całym wyrazem oczu i ust, nawet rozpoznać można, czy wówczas osoby się śmiały lub mówiły. Nowy ten pierwiastek (jodbromure) jest nader szkodliwy, maleńka kropelka natychmiast pozbawia wzroku, jeżeli w oko tryśnie.

Na wybudowanie dziesięciu mostów w Paryżu wydano 8,440,000 franków, przychód zaś z nich od przejeżdżających wynosi 8,510,000 franków rocznie.

W ostatnim roku sprowadzono z Chin do Anglii przeszło 28 milijonów funtów herbaty.

MODY. — Paryż, dnia 1. Grudnia 1841. Futra téj zimy bardzo się podobają, podszywają i orzucają niemi szlafroczki i mantylle. Palatyny wyglądają bardzo elegancko i zatrzymują je bez ujmy ubiorom w teatrze i odwiedzinach. Widzieliśmy gronostaje prześliczne, podszyte fiółkowym lub ciemnoniebieskim atłasem, z przodu u szyi wiązane pięknemi sznurami.

Szlafroczki na wyjście zupełnie negliżowo wyglądają, skoro są z tkaniny wełnianéj lub jedwabiu bez futra.

Szale aksamitne i façon-mantylle orzucają futrem lub fręzlą sznelową. Sute są, malownicze i piękne te fręzle, czasem i u szalów długich je spostrzegamy. Jakkolwiek pięknie wyglądają, jednakowoż na półstrój wieczorny na pierwszeństwo zasługują szale długie i gładkie, bez żadnych ozdób.

Strój na głowę wieczorny ma wązki obwód z aksamitu lub drap d'or z algierskiemi sznurami, złotemi łańcuszkami lub maurytańską plecionką. Czepki blondynowe stroją rózami. Czepki te mają jeden i ten sam kształt z wieku osiemnastego.

W towarzystwach, w teatrze, u wielkiéj lub małéj toalety widzimy koronki u dam na głowach lub sznury zirandolowe spadające na szyję.

Tkaniny téj zimy odznaczają się przepychem i zbytkiem i dalekiemi są od pojedyńczéj prostoty przeszłéj zimy. Główną odgrywają rolę atłasy i aksamity.

Peleryny tak często znachodzą się u ubiorów wieczornych, czy to z koronek, czy z futer, iż nic innego natomiast podać nie śmiemy. Niemasz nowych chusteczek (fichus); peleryny zaś robią z muślinu, walensiańskich koronek i stósują się tak do pojedyńczych jakoteż sudannych ubiorów.

Kolorom aprykozowym dają w ubiorach negliżowych na wieczory pierwszeństwo.

Na rano widzimy w miejsce pantofli aksamitne bóciki.

Toaleta balowa. Suknia z gładkiéj krepy z zmarszczanym w środku stanikiem i bukietem czerwonéj dali; u dołu powłoki, cztery zakładki. Spodnica z białego poux de soie. Włosy dalią zdobne, klejnoty z kamei i koralów. Chusteczka matyldką zwana.

Objaśnienie ryciny.

1. Kapelusz atłasowy z wystrojem wstążkowym i piór. Szlafroczek zdobny dużemi guzikami. Rękawy obcisłe, stanik gładki i peleryną fałdzistą otoczony.
2. Kapelusz jak u 1. Suknia jedwabna, osadzona kilkoma ukosami. Krótki płaszczyk zdobny aksamitem i sznurami.
3. Kapotka aksamitna, strojna kwiatami. Najnowszy płaszczyk kaszemirowy. Suknia jedwabna bez osady.
4. Kapelusz aksamitny, kolorowo podszyty, z słaniającemi się piórami. Aksamitny płaszcz, z dwiema aż do kibici zachodzącemi pelerynami, które są czarnemi koronkami orzucone, u dołu dwie koronkowe falbany. Suknia z mory.
5. Kapelusz ściągany z wystrojem kwiecistym. Płaszcz jak u 4.

Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*

Redaktor: *N. Kamieński.*